ROK 58 WE LWOWIE, 1 LISTOPADA 1936 R. Nr. 11

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

We wtorek dnia 3 listopada br. jako w dzień św. Huberta odprawioną zostanie ŻAŁOBNA MSZA ŚWIĘTA za duszę zmarłych Członków M. T. Ł. przed Jego ołtarzem w kościele św. Elżbiety we Lwowie o godzinie 9-tej.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Na godach łosich w puszczy

Po długotrwałych tegorocznych deszczach sierpniowych i przejmujących chłodach, które jak groźne memento przypominały ludziom koniec letnich wywczasów, nastąpiło nagle wypogodzenie. Puszczę Rudnicką pod Wilnem spowiły gęste, jesienne mgły, rozściełające się mlecznym welonem po mszarach rozległych, przechodzących miejscami w wyspy ciemnych, zadrzewionych ostrowów, gdzie wiosną krasnobrewe głuszce śpiewają swym kochankom natchnione pieśni o miłości. Zwiewne jak przędza pajęcza opary snuły się po dzikich puszczańskich ostępach, skąd jak pomruk nadchodzącej burzy, dolatywało furkanie wzlatujących w gęstwinie jarząbków, albo o świcie, czy zachodzie potężnym basem płynęło przez okolicę tajemnicze stękanie rozkochanych łosi.

Dzięki uprzejmości Pp. Włodzimierzostwa Korsaków mogłem przybyć do puszczy jako obserwator. Choć raz w życiu pragnąłem bowiem być świadkiem godów łosich, chciałem doznać tych rzadkich i potężnych wrażeń, których olbrzymia większość polskich myśliwych, być może, nigdy w życiu nie zaznała i nie zazna wogóle. Bo łoś — toć przecie nie szarak, czy bażant.

Ogółem Puszczę Rudnicką zamieszkuje obecnie trzydzieści kilka sztuk łosi. We wrześniu r. b. ryczało 12 byków, w tem kilka kapitalnych. Szczególniej jeden 24-tak, potężnym jak grzmot głosem przenikał głębie puszczańskich mokradeł.

Cicho, jak duchy leśne, przemykaliśmy się ze znanym pisarzem łowieckim p. Korsakiem każdego wieczoru po kładkach, biegnących długą, perspektywiczną linją, od kępy do kępy, od pnia do pnia, aż hen, wgłąb bagnistego matecznika — by tam spędzić w bezruchu i milczeniu długą serję godzin w oczekiwaniu na odzew bojowy potentata tych zakątków.

A dzikie i piękne zarazem są te uroczyska! Szerokim, dziesięciokilometrowej długości pasem ciągną się błota przez obszar puszczy. Żółte, zrudziałe mchy i takież pióropusze więdniejących paproci wyściełają mokre podłoże, nasiąkłe wodą, jak gąbka. Zwarty gąszcz cienkich, lecz wysokich białopiennych brzózek, wciśniętych w zielone zagaje omszonej świerczyny, łozy, czarnej olchy i niskich, rachitycznych sosen, tworzy nieprzebytą gęstwinę, ciemną, pogmatwaną i grząską, do której stopa ludzka nie ma już dostępu. Tam zaś, gdzie wiatry przerzedziły natłoczony drzewostan — z pod zmurszałych pni powalonych drzew gęstą szczeciną wystrzela łan monotonnie szeleszczących trzcin, szmaragd odrośli olchowych, oraz chaotyczna mozajka kępin wszelakiego zielska błotnego.

W takiem to miejscu wznosi się na czterech słupach wysoka czatownia, z której przed paru laty p. Prezydent Rzeczypospolitej zabił jednego ze swych łosi, wywabionego z gąszczów błotnych stękaniem na trąbie z kory brzozowej.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy pewnego dnia wyruszyłem z pałacyku myśliwskiego w Sędkowie, w towarzystwie uprzejmego mego Gospodarza, na podsłuch wabiących się łosi. Kilka kilometrów marszu zwykłym, płonącym w pożodze słońca borem sosnowym, wysłanym fioletową makatą rozległych wrzosowisk, potem mijamy budan głuszcowy i schodzimy na kładki, przecinające dziewiczą dżunglę moczarów. Wiotkie źdźbła trzcin ocierają się o cicho stawiane stopy, pilnujące starannie trzech obok siebie leżących żerdzi, umożliwiających przebycie tych bagnisk, żerdzi mokrych i oślizgłych. Ściskane w rękach kije ułatwiają utrzymanie równowagi, to też suniemy się szybko i zasiadamy niebawem na czatowni.

Przed sobą i za plecami, mamy zwartą ścianę podmokłego lasu, po bokach zaś ciągnie się długie pasmo halizny błotnej, pokrytej młodą olszyną, łozą i obfitością rozmaitych zielsk, oraz siwą mgiełką szemrzącej bezustannie trzciny.

Cisza panuje w przyrodzie, macona tylko natrętnem brzęczeniem tysięcy komarów, atakujących nas uporczy-

Ubity łoś

wie i bezlitośnie. Gdzieś, wśród kołtuniastego igliwia nędznych świerczków błotnych wabią się sikorki, a w nadziemnym łanie zrudziałych paproci, ćwierka maleńki i czupurny ptasi karzełek — strzyżyk.

Lekki szelest w zaroślach zwraca naszą uwagę. Z kęp zielska wysuwa się długa, ruda gąsienica lisiego ciała, myszkująca spokojnie o kilkanaście kroków od czatowni. Ostry, węszący bezustannie pyszczek podnosi się, celuje ku nam i znowu skierowuje się przed siebie. Po chwili mikita znika tak cicho, jak się pojawił. Tylko zaniepokojony strzyżyk wieści w dalszym ciągu kierunek marszu drapieżcy.

Wytężony słuch łowi dalekie odgłosy otaczającej nas puszczy. Z czubka uschłego świerka płynie w dal ostry krzyk czarnego dzięcioła. Gdzieś bliżej skrzeczy niemile orzechówka i waśnią się ze sobą modro-skrzydłe sójki. I zaledwie przebrzmiał ich wrzask — niską, bolesną skargą, rozlega się z zamglonych oddaleniem bagnisk przejmujące wycie wilka. Naraz wszystko milknie, uchodzi naszej uwadze. Z moczaru buchnął nowy dźwięk dziki, wibrujący, nieznany. Towarzysz daje mi znak — to rży łoś. Coś pośredniego pomiędzy rżeniem konia, a bolesnem jęknięciem trwa kilka sekund, milknie i znowu się powtarza. Za chwilę rozlega się dalej. Łowię uchem ten odgłos, starając się utrwalić go w pamięci, zapisać zgłoskami, co jednak przedstawia dużą trudność, gdyż wiernie odtworzyć się nie da. Słyszy się najpierw ciężkie, z wysiłkiem wydane stęknięcie, przechodzące w szybkie rżenie konia, zakończone basowem mruknięciem. Całość wygląda jako: „u u ę ę - h ę h ę ę ę ę ę h m“, powtarzane z małemi przerwami kilkakrotnie. Bezpośrednio po zaznaniu dzikiej leśnej miłości, potężny łopatacz głosił puszczy swą radość z posiadania uległej łoszy, swój trjumf zadowolonego władcy i małżonka.

Znowu zapanowała cisza. Na uschłym sęku bębni tylko dzięcioł, marząc o minionej wiośnie, oblany pożogą dogasającego dnia. Dalekie krańce halizny zasnuwają się już bladą, fioletową mgiełką, która rozprzestrzenia się coraz bardziej w miarę, jak nikną złote refleksy na czubkach drzew. Ciemna ściana puszczy czernieje, przybiera kolor atramentu. Na granatowem tle nieba przeblyskują pierwsze gwiazdy.

Tuż za nami zadudniała głośno jak bęben ziemia, trzasły łamane gałązki i przez uśpioną okolicę przeleciał donośny hałas. To spłoszony, przez coś kozioł sarni szczeka gniewnie, bijąc cewkami w leśne podłoże i druzgocąc porożem pobliskie krzaki. Pojedyńcze szczeknięcia szybko po sobie powtarzane zlewają się w jeden głośny, dziki krzyk, groźny i przejmujący. Szelest rozsuwanych w susach gałęzi znaczy szlak ucieczki rogacza, który na krótko przystaje jeszcze i rzuca gniewnie wyzwania: „wah-wah-wah“. Zaniepokojony głosem towarzysza, odpowiada mu z oddali drugi.

I zaledwie ustała ta hałaśliwa rozmowa — rozpoczynają stękać łosie. Grubym, ponurym, zachrypniętym basem wieści się o kilkaset metrów przed nami potężny łopatacz — posuwając się ku nam. Trzeszczą gruchotane drzewka, pluchocze woda pod ciężkiemi stopami wspaniałego zwierza. A gdzieś dalej w lewo wtóruje mu inny głuchemi pomrukami „uuo“, „uuo“.

Nie ścierpiał tego trzeci byk, ów szczęśliwy małżonek. Sapnął donośnie jak lokomotywa raz, drugi i rzucił ku rywalom długą serję gniewliwych stęknięć pełnych siły i potęgi. Przez czas jakiś trwało milczenie. Słychać tylko było kroki najbliższego łosia, brodzącego po mokradle.

Aż nagle znowu rozległo się rżenie, tym razem ciche, dalekie, zmodulowane przez odległość. Powtórzyło się trzykrotnie i umilkło. Czwarty, bardzo oddalony byk zachwycał się wdziękami uległej kochanki. Na dźwięk ten zgodnym chórem odpowiedziały mu wszystkie samce. Teraz stęknięcia grzmiały wojowniczo, zaczepnie, bojowo. Samotni amanci zazdrościli szczęściarzowi, wyzywali go na bój o dziką miłość, złorzeczyli mu i urągali... A on milczał, ignorował zazdrość towarzyszów, lekceważył ich groźby i wymyślania. I gdzieś tam w głębi błot, kładąc na grzbiecie swej wybranej ciężki, łopatami uwieńczony łeb — brał ją raz jeszcze w posiadanie.

W głębokiem milczeniu słuchaliśmy tych łosich godów, porównując tonacje i skalę głosów stękających byków. Różnice te tworzyły swoisty czar tajemniczej symfonji, tak już dziś rzadko dającej się u nas posłyszeć. Jeden samiec stękał głucho niskim, chrapliwym basem, rozlegającym się w ciszy nocnej jak odległy grzmot. Inny wieścił się puszczy pięknym barytonem, czystym i dźwięcznym, gdy tymczasem pozostałe byki wydawały przytłumione, bezdźwięczne pomruki, przypominające odgłosy dalekich wystrzałów.

Dwa byki zaczęły zbliżać się ku sobie. Basowe ich stęknięcia rozlegały się naprzemian coraz bardziej groźne, coraz więcej tchnące tajoną wściekłością. Naprężone nerwy lada chwila wypowiedzieć miały posłuszeństwo. Wyczuwało się, że potężne zwierzęta dążą do starcia, że badają wzajemnie swe siły i szermierczą taktykę.

Raz jeszcze dumnie, wyzywająco odezwał się byk przybłęda. Tego było już za wiele. Z trzaskiem gruchotanych gałęzi, ze szmerem łamanych w biegu trzcin, rzucił się ku niemu władca tych zakątków. Zachlupotało rozpryskiwane w galopie błoto, zachrzęściły druzgotane zarośla... A przybysz stał w miejscu przyczajony, gotujący się do walki. Biegnący łopatacz zastękał jeszcze i nagle ciszę przerwał głośny łomot dźwięcznego uderzenia. To oba byki zderzyły się rosochami. Znowu bulgotała woda, znowu trzaskały gałęzie, ale napastnik nie myślał ustępować. Wizja pięknej, dorodnej klempy, oczekującej gdzieś w pobliżu na zwycięzcę turnieju o jej wdzięki — podniecała zmysły, rozpalała nienawiść do przeciwnika. Stał więc dalej w miejscu, zlekka chrapiąc.

Nie zniósł już tego łoś, broniący swych praw. Jeszcze głośniejszy grzmot uderzenia wstrząsnął zamarłem w przerażeniu bagniskiem, zawtórowało mu zduszone pasją sapanie i nowe echo potężnego ciosu. Dopiero teraz, zaskoczony rozpaczliwem męstwem gospodarza kniei, napastnik zwątpił w swą moc. Wyciągniętym kłusem opuścił plac boju, ścigany przez zwycięzcę.

A gdy ucichły, rozpłynęły się w oddaleniu kroki intruza — łopatacz stęknął raz jeszcze. W śmiałej, donośnej tonacji tej fanfary kryła się duma i radość zwycięstwa, mieściła się pogarda dla zwyciężonego i wyzwanie dla dalekich rywali.

Umilkł byk i zdawał się nadsłuchiwać, kto mu odpowie na dziki zew, kto pośpieszy na okrutny, zażarty bój

o palmę pierwszeństwa w miłosnych godach puszczy. Lecz tylko cichy szmer wiatru przypłynął doń z oddali. Natenczas wolno, majestatycznie ruszył ku czekającej go w gęstwinie długouchej małżonce, biernej a ponętnej.

Zciemniło się już zupełnie. Granatowy zmrok zalał głębia leśne nieprzeniknioną czernią, wypełnił dukty i halizny powodzią gęstej, sinej mgły. Drzewa zatraciły swe sylwetki i kontury, zlały się ze sobą w jednolitą zwartą ścianę, rysującą na tle jaśniejszego nieba długi zygzak wierzchołków. W górze nad nim zapaliły się miljardy gwiazd, ziemia odpowiedziała im tysiącami ogników, robaczków świętojańskich, ukrytych w kępach mchu i na niskich krzakach.

Tuż przed czatownią, w ciszy nocnej rozległy się czyjeś kroki. Rytmicznie pluskała woda, szeleściły zarośla, trzaskały łamane gałązki. Nieśmiały, przytłumiony kwik zabrzmiał krótko i ucichł. To maciora dzicza z warchlakami wyruszyła z kniei na żer. Minęła nas i szła dalej halizną. Nagle przystanęła. Lekki powiew wietrzyka przyniósł jej podejrzaną woń, płynącą od znieruchomiałych na ambonie postaci. Czas jakiś ostrożnie wietrzyła, poczem powzięła decyzję i zawróciła ku swemu legowisku. A w ślad za nią podreptały posłuszne dzieciaki.

Łosie umilkły już całkowicie. Postanowiliśmy wracać do domu. Wolniutko, krok za krokiem wycofywaliśmy się z ostępu, wyczuwając tylko stopami niewidoczne już zupełnie w ciemnościach kładki. Łączący się nad głowami konary drzew potęgowały jeszcze bardziej panujący mrok, to też droga była bardzo uciążliwa, a ześliznięcie się z żerdzi, groziło zapadnięciem w błoto powyżej kolan. Nie to jednak trzymało nas w ustawicznem napięciu nerwów, baliśmy się, że spowodowanym hałasem spłoszymy stojące w pobliżu łosie. I dlatego przebyliśmy kładki cichutko, nie słysząc niemal własnych kroków, aż puszczyk, siedzący na gałęzi sosny przekrzywiał zdziwiony głowę, że sunące się postacie nie wydają żadnego odgłosu i przerażony pochodem tych widm — uleciał w las z trwożliwym jękiem.

* * *

Codziennie, w ciągu dwunastu wieczorów, urządzaliśmy takie eskapady. Codziennie witała nas puszcza głosami swych mieszkańców, rozrzucając po piaszczystych, lub bagnistych ścieżkach tropy wilków, sarn, dzików i łosi. A kiedy dotarliśmy do jej głębi — grały nam fanfary skrzydeł wzlatujących stadek głuszcowych, wtórowały im śliczne jarząbki, rude słonki, pstre orzechówki i szybkolotne jastrzębie. Nad modremi oknami puszczańskich jezior defilowały w pięknym locie stada krzyżówek i barwnych świstunów, pojawiały się znienacka tajemnicze czaple, lub szybowały w powietrzu majestatyczne orly krzykliwe.

I chciałoby się zostać tu na zawsze, zdala od zgiełku świata, od intryg wielkomiejskich i bezdusznych uciech cywilizacji. Chciałoby się wrosnąć swem istnieniem w dziką i piękną puszczańską przyrodę, jak te drzewa-olbrzymy, co tu wyrósłszy — trwały wieki, aż wreszcie padły same spróchniałe na wilgotne podłoże, by użyźnić sobą glebę przyszłym pokoleniom swego gatunku.

JUBILEUSZOWA WYSTAWA ŁOWIECKA WE LWOWIE.



Stoisko dóbr skolskich br. Groedlów

ALBERT MNISZEK

Wrażenia z Wystawy Łowieckiej

I.

JELEŃ NA WYSTAWIE I U SIEBIE W DOMU.

Wieńców jeleni karpackich zgłoszonych do konkursu było 32, wcale więc skromnie dział ten na wystawie się zaprezentował. z nich nagrodzono 25 sztuk. Inne, bardzo silne i okazałe, jako zdobyte przed dziesięciu laty, zgłoszone były poza konkursem.

Skromna ta liczba konkursowych wieńców karpackich tłumaczy się ciężkiemi warunkami życiowemi dzisiejszych czasów, ale też i daje sposobność myśliwemu hodowcy do wysnuwania pewnych wniosków co do dzisiejszego stanu jeleni karpackich pod względem jakości. Znane są nam bardzo silne wieńce karpackie, zdobyte w ostatniem dziesięcioleciu, których na wystawie nie widzieliśmy, jest ich jednak ledwie kilka; wieńce starsze, obecne na wystawie są po największej części lepsze od najlepszych, nagrodzonych, z których jest kilkanaście bardzo dobrych. Karpaty jednak umiały nam nie raz już dawać o wiele lepsze. Sięgnijmy pamięcią nieco wstecz, a przypomniemy sobie wieńce takie, jakie widywaliśmy dawniej: inż. Berwida, hr. Bielskiego, hr. Żółtowskiego i wiele, wiele innych.

Czyżby zaczęła się degeneracja jelenia w Karpatach? Na to pytanie odpowiemy poniżej. Fakt, że tak na III pokazie trofeów myśliwskich w r. 1934 w Warszawie, jak i na tegorocznej wystawie łowieckiej we Lwowie, jelenie nizinne pobiły karpackie, nic nam nie mówi, zwycięzcami bowiem tam i tu były jelenie z Pszczyny, z ogrodzenia, wprawdzie bardzo wielkiej przestrzeni, zawsze jednak nie z wolnego łowiska i specjalnie hodowane, faktem jednak uwidocznionym dobitnie na naszej wystawie jest wielki postęp w sile i szlachetności formy wieńców jeleni nizinnych. Możnaby mniemać, że idą one na podbój jeleni karpackich. Jeleń nizinny jednak, będąc zwierzęciem bardzo kosztownem, ze względu na szkody, które czyni i ze względu na drogą hodowlę, której wymaga, jest możliwy do utrzymania w bardzo obszernych tylko latyfundjach i przez bardzo zamożnych hodowców. Jednak, wobec będących w toku ewolucyj socjalnych i ogólnej pauperyzacji, grozi tym latyfundjom zczasem znaczne zmniejszenie a częściowo może i zniknięcie zupełne — wtedy jeleń nizinny stanie się zwierzyną, której braknie warunków do dalszego istnienia. Fakt jednak polepszenia i uszlachetnienia naszego jelenia nizinnego uświadamia nas, co może uczynić kultura łowiecka i dobrze zastosowana hodowla.

Czy nie moglibyśmy zastosowywać jej, w miarę możności w Karpatach? Sądzę, że tak.

Wróćmy do ostatnich kilku lat, poprzedzających wojnę światową. Jeleń karpacki był wtedy bez wątpienia w toku degeneracji. Jeleni było mnóstwo, tak, jak dzisiaj, a może i więcej, stosunek byków do łań był nieproporcjonalny, widywano byki i to słabe, których harem liczył po kilkanaście łań, młodych byków-gałganów było bez końca; właściciele i dzierżawcy łowisk górskich płacili za szkody zrządzone przez tą zwierzynę, sumy poważne.

Wojna światowa przeprowadziła w świecie jeleni karpackich radykalną selekcję. Już w jesieni 1914 roku szły z Karpat wschodnich całe pociągi jeleniego mięsa, jako dodatek do wyżywienia rosyjskiej armji. Co nie przeszło w czas na węgierską stronę gór, wybito do nogi. Po wojnie, a raczej wcześniej, bo po ustąpieniu Rosjan z frontu karpackiego, zaczęły jednak niedobitki powracać do swych ojczystych pieleszy, przetrzebione jednak zostały one znów przez ukraińskich rebeljantów w roku 1918, lecz w rok później zapanował już w górach względny spokój. Grube byki, które bezpiecznie czas wojenny po południowej stronie Karpat przebyły, ryczały już na rykowiskach w roku 1919 po naszej stronie gór, niepokojone tylko przez wilki i bandy kłusownicze, ale dzięki opiece właścicieli obszarów karpackich, wracały coraz to więcej normalne stosunki, dające jeleniom warunki możliwe do egzystencji. Stan ich powiększał się z roku na rok, aż doszedł do stanu dzisiejszego.

Obecny stan jeleni w Karpatach wschodnich już jest za obfity. Jeżeli — jak mi myśliwi polujący na tegorocznem rykowisku opowiadali — w rewirze o 1500 hektarach ryczało 50 byków, to chyba przyzna każdy, że ich tam było za wiele. Wiemy, że pierwszym szczeblem po drabinie w dół dla danej zwierzyny, jest jej stan za wielki, t. j. taki, który już nie odpowiada warunkom miejscowym. To po-



Jeleń A. hr. Stadnickiego z Rytra



Tegoż jelenia ostatnie zrzuty

cząte k degeneracji. Łań mamy też w stosunku do byków za wiele, widywano bowiem w tym roku byki utrzymujące przy sobie po kilkanaście łań. Wreszcie słabych i lichych byków młodych mamy też mnóstwo. Stan jeleni stoi więc mniej więcej na tym samym poziomie co w roku 1914 a więc jest już u progu degeneracji. Tego niestety zaprzeczyć się nie da!

Należy natychmiast użyć środków, mogących tę degenerację zahamować, a więc, wystrzelać znaczną ilość łań, bez oglądania się na ich wiek, pewną ilość cieląt i przeprowadzić odstrzał selekcyjny, t. zn. wystrzelać byki, też bez względu na ich wiek, mające liche i chorobliwej budowy poroża. Pamiętać bowiem należy, że forma poroża jest u wszystkich cerwidów dziedziczną. Jako dobitny tego przykład podaję tu fotografię znanego nam z wystawy wieńca jelenia Adama hr. Stadnickiego z Rytra i tegoż jelenia ostatnie zrzuty na sztucznej czaszce. Wieniec zdjęty z łba jego po ubiciu wygląda przecież jak powiększona fotografja jego zrzutów.

Odstrzał jednak selekcyjny, wymaga znawstwa i powinien być uskuteczniany przez fachowy i inteligentny personel lasowy, a nie przez ad hoc zaproszonych gości, którzy zwykle o rzeczy pojęcia nie mają. Łanie powinno się zredukować, aby stosunek byka do łań był jak 1:3. Chociaż dzisiejsi hodowcy niemieccy utrzymują, że stosunek ten powinien być 1:1, a nawet jak niektórzy z nich się wypowiadają, że powinno być w łowisku więcej byków od łań, to metod tych do Karpat nie należałoby stosować ze względu na ostre zimy, które od czasu do czasu zwierzynę dziesiątkują, lepiej więc mieć w łaniach choćby mały rezerwowy kontyngent.

Ile łań i cieląt odstrzelić należy w Karpatach wschodnich, trudno ryczałtem cyfrę oznaczyć, będzie to rzeczą właścicieli i dzierżawców łowisk, a władze powinny dawać im zezwolenia na odstrzał bez żadnych zastrzeżeń*).

Zaznaczyć trzeba, że leży w interesie hodowlanym, żeby żadno z łowisk górskich podczas rykowiska nie leżało odłogiem, ale aby polowali w nich dobrzy i znający się na rzeczy myśliwi. Lepiej taniej sprzedawać odstrzały i wydzierżawiać łowiska, niż pozostawiać je w czasie rykowiska bez myśliwego — kłusownikom i wilkom do eksploatacji. Straż łowiecka choćby bardzo sprężysta i czujna, liczebnie natomiast ograniczona, rewiru wtedy nie upilnuje.

Darują Czytelnicy, że narażę ich cierpliwość na próbę, jeżeli jeszcze raz powrócę do wieńca jelenia hr. Stadnickiego, a to ze względu na jego wagę. Wieniec ten ważył po ubiciu w jesieni r. 1934 9,30 kg, a zważony na wystawie wykazał wagę 8,20 kg. Stracił więc 1,10 kg ze swego ciężaru. Dowodzi to, jak niemiarodajnym czynnikiem jest waga przy osądzaniu na wystawach wieńców, pochodzących z rozmaitych okresów czasu.

I aby tę sprawę należycie wyświetlić, wchodzi ona bowiem w dziedzinę wiedzy łowieckiej, odnoszę się z prośbą do naszych myśliwych, którzy zdobyli na tegorocznem rykowisku wieńce, aby je początkowo raz na miesiąc, później choć raz na trzy miesiące ważyli i ubytek wagi notowali. Bardzo interesującą będzie rzeczą dowiedzieć się, jak długo trwa proces wysychania wieńca. Kiedyś w przyszłości zechcą Oni Redakcję „Łowca“ o rezultatach ostatecznych swych doświadczeń uwiadomić, wraz z adnotacją co do stanu (suchy, wilgotny) odnośnego lokalu. Należałoby wieńców nie przyśrubowywać do tarcz, lecz na haku je wieszać, aby dowolnie zdejmować je można było.

*) W Skolszczyźnie, gdzie gospodarka łowiecka jest prowadzona bardzo umiejętnie i oględnie, przeznaczona w tej zimie do odstrzału 200 łań, 50 byków i 80 cieląt.

JUBILEUSZOWA WYSTAWA ŁOWIECKA.



18-tak Jerzego hr. Potockiego, ubity w Polanicy 1934 r. Długość 107, 105 cm. Obwód pni po 16 cm. Rozpiętość 88 cm. Medal srebrny.



ANTONI GÖTZ OKOCIMSKI

Tegoroczny wrzesień

Czasem hojność św. Huberta jest nadzwyczajna, a wówczas myśliwy zastanawia się, czy ma o tej łasce swojego Opiekuna mówić i pisać, czy też zachować dla siebie wspomnienie i rozpamiętywać wieczorami niezwykłość i piękno widzianego zdarzenia, czy spotkania. Tak było i ze mną tego roku podczas rykowiska, ale że nie chcę być egoistą, oraz, ponieważ towarzyszyła mi w owych podchodach moja żona, względnie moi goście, więc zdecydowałem się spróbować opisać te dni, każdego roku tak piękne, pełne emocyj i wrażeń.

Rykowisko tego roku zaczęło się bardzo wcześnie, po pierwszych głosach jednak jelenie umilkły z powodu cie-

pla, by na dobre rozpocząć ryczeć 12 września. Ryczały w moim rewirze i popołudniu dość wcześnie i z nocy przeciągały do 7-mej, 8-mej rano, tak, że ułatwiało to znacznie podchód. Były naturalnie i kulminacyjne dni, podczas których cisza panowała w kniei jedynie między godzinami 14 a 16 i między 23 a 2 w nocy.

Zaczęło się od zaczarowanego ranka: zrąb zarośnięty mieszanemi podrostami; mniej więcej w środku oddziału kępa olszyny, w głębi przed nami starodrzew jodłowy. Świt, naprzeciwko nas trzy potężne głosy wciąż sobie odpowiadają, przyczem dwa z nich słychać stale z jednego miejsca, a trzeci wędruje. Zaczynamy podchód — jest nas troje. Pod stopami suche gałązki, czasem grząskie błoto, ale najgorsza, to szeleszcząca, wysoka trawa, ten głośny szept lasu, który słychać daleko w rannej ciszy, gdy ciało się przeciska, choćby najwolniej przez ten gąszcz.

Dobry wiatr i łaska św. Huberta doprowadza nas po całym szeregu ewolucyj pod ryczącego, lada sekundę musimy go zobaczyć. W skroniach tętno, oddech nagle krótki, a w gardle sucho. W przerwie między jednym a drugim rykiem w doskonałej ciszy słychać ciało jelenia przedzierające się przez gąszcz olszyn. Nagle, ryk drugiego jelenia z naprzeciwka, zbliżający się szybko do nas podrażnia tego, którego podchodzimy i wytryska on z gąszczu pomiędzy pojedyńcze drzewa na wysoką trawę, na kilkanaście kroków przed nas, przytulonych do pni drzew, czy skulonych przy ziemi — on ryczący, piękny, groźny. Próbuję fotografować tego pięknie rozłożonego, dość grubego dziesiątaka, zdążam przełożyć trzy filmy, które niestety się nie udały z powodu zbyt skąpego światła i jeleń wreszcie dostrzega mnie, płoszy się i w długich susach znika za osłoną liści i drzew. Orjentuję się, że trzeba szybko działać, że należy ryzykować i próbować szczęścia, więc bez ostrożności, naśladując jak się najlepiej dało, chód jelenia, biegnę w kierunku drugiego byka, którego wciąż słychać. Po mniej więcej stu krokach jestem pod drugim jeleniem, który do mnie ryczy. Widzę go na 50 kroków na sztych, oglądam kosz dwunastaka, nieustępującego górskim. Naokoło łanie się pasą. Jedną mam na kilkanaście kroków, ponieważ jednak jesteśmy schowani i widać nam tylko kapelusze i pół twarzy, więc łania widzi wprawdzie, że coś się tam rusza, że coś jest podejrzanego, ale nie wie, co to jest, więc patrzy i patrzy nieruchoma, zaintrygowana, aż nam zupełnie ręce drętwieją od trzymania lornetek przy oczach. Wreszcie po chwili, która dla nas wydłuża się w nieskończoność — pirueta, skok i łania znika. Jeleń defiluje nam, zaganiając łanie z wszystkich stron na niewielką odległość i całe stado odciąga od nas powoli.

Tego samego dnia popołudniu siedliśmy we troje w kniei, czekając na pierwsze głosy wieczorne. Pogoda była piękna. Siedzieliśmy za pniakiem na ziemi, a trzeci towarzysz nasz usiadł za bukiem szerokim. Las szumiał cichutko, a że wcześnie jeszcze było, więc rozkoszowaliśmy się knieją, gonnemi jodłami, kolorowemi bukami i tym pięknem, które daje w lesie jesień. Niespodziewanie coś przed nami zatrzeszczało, zaszeleściło i prawie równocześnie widzimy jelenia dziesiątaka przed nami, a trochę z ukosa od lewej, zdąża stadko dzików. Rozpoznaję natychmiast między dzikami dużego odyńca i dziwię się, że razem ze stadem chodzi. Nie ma jednak czasu na refleksje i myśli, bo nagle widzę w lornetce, że drogi jelenia i odyńca muszą się krzyżować i że coś się będzie działo. Widzę, jak jeleń na sztywnych, przednich badylach z trochę przekrzywionym i pochylonym wieńcem idzie ku dzikowi, a ten nasrożył się i sunie ku jeleniowi, fucząc. Widok naprawdę niezwykły, na odległość kilkudziesięciu kroków patrzymy, oczom nie wierząc, bo oto dzik ustępuje z drogi

---

ZBIGNIEW HABDANK-CZARKOWSKI

Poemat lasu

CZĘŚĆ II.

CZATY NA DZIKI

Motto: Gdy idziesz na niedźwiedzia — gotój łoże, gdy na dzika — mary.

Półmrok — noc;
zając podniósł słuchy
gic-gic-gic-gic-hoc-hoc
potem stał na miedzy
i kruchy
prężył grzbiet
i...
dał susa w łan:
ktoś szedł!

— — — — — — — — — — — — — —

Ktoś szedł przez pola. —

cicho
mknęły widma —
miedzą — miedzą — miedzą —
— ścieżką —
(grusza dziuplą patrzyła,
westchnęła ciężko
i liśćmi od komarów odganiała boki,
potem śniła).

Trzy sowy, świecąc oczyma dokoła,
ostrzyły pazury
i żywą obdzierały mysz —
Z daleka tato-puszczyk coś tam na nie wołał,
a z góry
Świsssssnął szpak ze wściekłości, że mu sen przerwano
„a śpiszszszsz!?“

O kilka kroków dalej
ględził coś las —
dęby dostojne, poważne drągale
jak zwykle omawiały lasowe nowiny,
a młodzież
śmiała się długo do siebie poszumem
i jakieś ze sosny wyprawiała drwiny.

Nagle!.......
zaświecił jaśniej korzeń jedynego graba;

jeleniowi, a ten powoli i poważnie przesuwa się koło nas, idąc w obranym kierunku. Stado dzików zaś buchtując i ryjąc, szeleści, chrząka, pokwikuje z cicha, jakby to była noc. Spotkań z dzikami mieliśmy dużo, bo tego roku bukiew obrodziła i dlatego włóczyły się po lesie i w dzień. Ale dotąd nigdy nie zdarzyło mi się widzieć takiego spotkania, jak wówczas, boć zawsze sądziłem, że raczej jeleń dzikowi ustąpi z drogi.

Mówić o tem jak w słoneczne popoludnie, idąc cicho linią, doszedłem na 6 (sześć) kroków wycinka, drzemiącego w bagienku i jak nagle wystraszony zerwał się jak piłka i strasznie fucząc, długo w krzakach nie mógł się uspokoić, a po dobrej chwili ciekawy, przez linię przebiegł, chcąc przekonać się, co to go przed chwilą tak wystraszyło.

Mówić o tem, jak dwa jelenie w zapamiętaniu i szale, prawie klęcząc, związane wieńcami, walczyły ze sobą o prymat i zwycięstwo.

O tem, jak gościa mojego podprowadzałem pod jego pierwszego jelenia, którym był bardzo gruby i potężny szesnastak, jak przeżywałem razem z nim emocje, jak drżąc razem z nim, dyktowałem każdy krok, każdy ruch, i jak razem z nim po strzale, rozpromieniony, radosny i szczęśliwy, cieszyłem się szczególną łaską św. Huberta, ważąc, mierząc i fotografując wieniec tego potężnego zwierza. Mówić łatwiej o tem, niż pisać, a najlepiej wspominać.



ADAM STARZEŃSKI

Pogawędka o królu

Nie o Pomazańcu Bożym chciałbym pogawędzić. Broń Boże! Nie o pikowym czy karowym królu. Tak samo nie o jednookim, co to był między ślepymi. Nawet nie o „królu“ czworonogu zwinnym i chytrym, ani o królu kurkowym. Ale mam na myśli takiego, o którym nieraz w sprawozdaniach z polowań czytamy: „Królestwo dnia dzisiejszego wystrzelał sobie...“. Czasem jest to król o siedmiu czy jedenastu zajączkach, mizerny jak królowie-bohaterowie opiewani przez Homera, czasem jest to potentat, pełen blasku i majestatu, o cyfrach trójliczbowych od dwójki a nierzadko nawet od trójki się zaczynających.

Kanclerz Zamoyski w pamiętnej swej mowie sejmowej powiedział „electores regum sumus“, ale zaraz dodał „et destructores tyrannorum“. Otóż tym destruktorem chciałbym dziś być. Bynajmniej nie przez niemoc ani przez zazdrość. Zachęcony jednak przez licznych, kochanych towarzyszy myśliwych pragnę zastanowić się, czy ogłaszanie króla polowania jest potrzebne, czy przynosi jakąś korzyść myślistwu, czy też wręcz przeciwnie? Czy na skutek ubiegania się o koronę królewską nie cierpi poważnie i boleśnie zwierzyna? A skutkiem irytacji czy nie cierpią wątroby towarzyszy myśliwych, którym przypada zaszczyt sąsiadowania z majestatem? Czy wogóle nie psują się przez to powoli a może i stale dawne obyczaje myśliwskie? Nowoczesny król polowania ma nieraz cechy jakiegoś tyrana z zamierzchłej epoki. Niejeden gospodarz polowania mógłby nam o tem coś powiedzieć.

Zdaje mi się, że zwyczaj mianowania myśliwego, mającego najwięcej sztuk na rozkładzie, królem polowania, przyszedł do nas od sąsiadów Niemców. Zwyczaj ten roz-

coś się dziwnego działo;
błysnęło światło lampki —
— zgasło —
coś się cicho na skraj lasu podkradało —
aż dąb — praojciec rzucił szeptem hasło:
„strzelcy!“

Znów przytłumione zaczęto pogwary —
wyszedł księżyc
zaglądał wszędzie — filut stary,
skrzywił się na widok lśniącej dubeltówki
ozłocił kukurydzę, srebrzył kartoflisko
a potem zalotnie, blisko
patrzył w oczy okrągłej kapuścianej główki.

Wtem —
las —
zamarł —
(zwykły śmiertelnik nawetby nie spostrzegł)
taka cisza subtelna
jakieś ciszą granie
jakiś powiew bez szumu
i bez głosu łkanie,
jakiś dziw nienarwany
i trwożne czekanie
cisza... — cisza... — cisza... —

trzask! trzassssk trzassssssssk
coraz głośniej — coraz raźniej — coraz ostrzej —
krrrrrrrhkwi krrrrrrhhhrrrwik
kharrmmmm, khrrruń, khrrruń —
pfufff khrwik! pfuff!
szarpnięta drzazga trzasła w drzewo
wszystkie trzaskały racice
(księżyc skrył się pod chmurzysk bylejaką plewą
i mgły zaciągnął takie same, jak on —
bladolice
ze strachu)
Widma przylgnęły — zda się — ustami do ziemi,
szeptały —
ledwie podsłuchać mógł coś czatujący jeż:
— „Wiesz?
— co?
— odyniec!
— Nie! dawno dałby nura
— myślisz? a jednak odyniec
— nie to samura
— aha zaraz...
— zobaczymy!
(trzecie nieme widmo odciągnęło kurki
czarnej dwururki
i zamarło).

JUBILEUSZOWA WYSTAWA ŁOWIECKA.



16=tak ubity przez p. Emila Jędrzejowskiego w Klimcu 1926 r. Długość 121, 109 cm. Obwód pni 15, 14,5 cm. Rozpiętość 105 cm. Medal złoty.

powszechniony jest najbardziej w Poznańskiem, znacznie mniej w innych dzielnicach Polski a już najmniej w Ma=łopolsce i na Kresach.

Oczywiście rozmaici są królowie. Ale my zajmijmy się bliżej królem, który częstem powodzeniem upojony, co=raz to większej sławy żądny umieścił z biegiem czasu u spodu swej tarczy myśliwskiej szumną dewizę: „Corri=ger la Fortune“ i spędźmy z nim jeden dzień na polowa=niu. Nazywamy go już królem. Napewno nim dziś znów zostanie. Inaczej odchorowałby to niechybnie.

Dzień zaczyna się kotłem. Król jest dziś zatroskany i pełen niepokoju, albowiem wśród grona myśliwych znaj=dują się szczególnie niebezpieczni współzawodnicy, tak zwane „brzytwy“. Trąbka. Zaczynamy. Pomykają zają=ce — daleko — za daleko. Ale jeden z nich defiluje wzdłuż naganki na jakich sto lub więcej kroków. Nagle, gdy się znalazł naprzeciw jego królewskiej mości, gorąca kano=nada. Grzmi strzał jeden po drugim, biedny zajączek obry=wa za każdym strzałem po jednej śrucinie, wreszcie po piątym czy szóstym strzale unieruchomiony, obolały, z po=gruchotanemi skokami czeka pokornie, aż go naganiacze kijami domęczą. Król ma jędną sztukę więcej, a unieru=chomionego już nie dobijał, gdyż oszczędza teraz naboje szafowane przed chwilą z takim zapałem na zbyt odległą metę. W podobny sposób zdobywa jeszcze sztuk kilka. Wtem nagła zmiana. Król widocznie już się zmęczył, do defilatorów już nie podbiega, idzie coraz wolniej. Sąsiad z prawa, sąsiad z lewa do ochrypięcia wołają, ryczą: „Na=przód, naprzód, środek naprzód...“. Nadaremnie. Król głu=chy — czy też siły go opuściły. I tworzy się gruszka. I w tę gruszkę wsypuje się, jak w lej jaki, wszystko co jeszcze biega po kotle, zdrowe czy kulawe. I wszystko to sumiennie król wyzbierał.

Po kotle mamy pędzenie na bażanty. Tu... inna taktyka. Przedewszystkiem zbieracze zwierzyny od każdej przynie=sionej sztuki są teraz płaceni, a nawet czasem gdy król bardzo w ten dzień zachłanny, lub gdy rywale bardzo nie=bezpieczni, to i zbieracze sąsiadów są przekupieni. Król jest chmurny, obolały, obrażony, zna przecież ten rewir

---

Zdala zew dziki puhacza wył głucho,
w przeczuciu ranka gruchały gołębie —
tylko buk stary uważnie coś słuchał
i dumał samotnie i marzył na zrębie.

Wtem
błysk latarki —
snop światła wgryzł się w litą ciemń;
zamarł w bezruchu
zwierza cień...

„trzask — trzasssk“
zawiodła strzelba!
gorączka!
dziki!
wieczność!
prędzej druga strzelba!...
strzał!!!

cień przechylił się,
chwiał
z sześćdziesiąt racic trzasnęło w tupocie,
z piętnastu ryjów wyrwał się
kwik.

Została maciora
ogromna, skrwawiona,
puhacza krzyk
i widma trzy.
Rogacz bełkotem coś szczekał z doliny —
trzasnęły skrzydła spłoszonych cyranek
i z mgły osiadłej, srebrzysto=sinej
złoto=różowy roziskrzył się ranek.

Trzej strzelcy fajki palili nad zwierzem:
— „Psiakrew!
— A co?
— nie wypaliła!
Za to moja! ha! ha! ha — widziałeś, jak biła?
— co tam twoja!“
—
— „Szkoda, żem się nie założył
— albo co?
— wyglądałbyś jak zmokła kura.
— czemu?
— ano! nie widzisz?
toż przecież
samura!“

doskonale i wie, że mniej dobre stanowisko mu wyznaczono. No — trudno. Jakoś trzeba sobie radzić. Strzela się tylko koguty. On jednak zabił już dwie kury — za co uśmiechającego się kwaśno gospodarza przeprosi później uprzejmie. Zabił także i jednego infanterzystę koguta. Bez świadka — bez świadka. Sąsiad właśnie zajęty był swojemi strzałami. Król pracuje. Strzela szybko swoje i nie swoje, często przed nosem sąsiada, często nad głową sąsiada i w rezultacie pilni, dzielni chłopcy naznosili mu kupę całą ptactwa a także i czarnego jak smola królika, którego ani nie strzelał ani nawet nie widział.

Po bażantach przenosimy się znowu na pola. Kuropatwy pędzone. Król dostał stanowisko na skrzydle — ma się posuwać o kilkadziesiąt kroków przed naganką. Król szybkie ma postanowienia. Wsunął się między naganiaczy, idzie z nimi ławą i obfite a łatwe zbiera żniwo wśród kur rwących się z buraków czy z zielonych poplonów, a kury, mądrale, płoszone wzbijają się wysoko w górę i przed linją strzelców zdala już wynoszą się na boki. Król, gdy jest daleko na skrzydle, to czasem i do cieknących bruzdą kuropatw wygarnie... U naganiaczy strzał taki zawsze jest oceniany jako szczególnie pomyślny.

I tak dalej pracowicie i mozolnie aż do zmroku. A potem wieczorem jak mile mu brzmią słowa gospodarza: „Królem jesteś dzisiejszego polowania".

A później przy wesoło trzaskającym ogniu kominka niejeden z towarzyszy popadnie w zadumę i wspomni pełne godności czasy koleżeństwa czy altruizmu, gdy szanowano prawa i obyczaje myśliwskie a nikomu na myśl nie przychodziło wprowadzać nieporządki fantazji lub anarchię wybujałego indywidualizmu.



Z Karpat

Dzielimy się poniżej z naszymi Czytelnikami uprzejmie nam udzielonemi przez Zarządy lasów prywatnych wiadomościami o przebiegu tegorocznego rykowiska. Sprawozdanie z rykowiska w lasach państwowych, umieścimy w następnym numerze.

W Perehińsku.

Na dobry wynik tegorocznego rykowiska w Perehińsku złożyły się następujące okoliczności: wyjątkowo dobry zwierzostan, łagodna ostatnia zima, obfitość paszy i... szczęście łowieckie.

Rykowisko zaczęło się 12 września, a zatem bardzo wcześnie, ale słabo, gdyż przy najpiękniejszej pogodzie, kiedy temperatura w słońcu dochodziła do 40° ciepła. Nie wzrosło jego natężenie i wtedy, gdy nastały dnie chłodne i dżdżyste i gdy przy końcu rykowiska nastąpiły nawet śniegi i przymrozki. Ostatnie chwile rykowiska w pierwszych dniach października przebyli łowcy Perehińska, w górnych rejonach swoich rewirów, wśród głębokich śniegów.

Przybyło 31 myśliwych z kraju i z zagranicy.

Strzelili oni w swoich rewirach:

I. baron Andrzej Ike — 14-taka;

II. p. Adam Morawski 18-taka; p. Kazimierz Skarżyński 14-taka.

III. p. Ludwik Dembiński dwa 14-taki; prócz tego strzelono jednego 16-taka i jednego 14-taka.

IV. hr. Palffy 14-taka; lord Welper 14-taka.

V. p. I. D. Malcomson 18-taka.

VI. p. Ludomir Cieński 14-taka i 12-taka; p. Stanisław Cieński dwa 14-taki.

VII. Kazimierz hr. Szeptycki 14-taka i 12-taka.

VIII Jan hr. Szeptycki 12-taka i jednego niedźwiedzia.

IX. Jan hr. Palfy 14-taka; hr. Palfy syn 12-taka.

X. Ordynat Cyryl Czarkowski-Golejewski 14-taka; — hr. Silva-Tarouka 14-taka.

XI. Dr. Ludwik von Winterfeld 16-taka, 14-aka, 12-ka; baron Wiltzensleben 12-taka.

XII. Dr. Jarosław Skoplak, członek ukraińskiego Tow. Łow. „Tur" 10-taka.

XIII. Ks. Lubomirska 10-taka.

Nie przyszedł do strzału Paweł hr. Palfy.

Razem padło w czasie rykowiska w całej majętności metropolitalnej 27 jeleni, a to: 2 — 18-taki, 2 — 16-taki, 15 — 14-taków, 6 — 12-taków, 2 — 10-taki. Selekcyjnie odstrzelono 3 jelenie.

Z preliminowanych tego roku do odstrzału 4 niedźwiedzi, odstrzelono jednego. Stan niedźwiedzi w majętności metropolitalnej bardzo dobry, ich ilość od lat trzech przewyższa setkę.

Ze strzelonych tego roku jeleni, zasługują na uwagę:

1. Fenomenalny 18-tak, strzelony przez I. D. Malcolmsona z Londynu, najpiękniejszy zdaje się jeleń Karpat, zdobyty w ostatnich 20 latach, o prawidłowej budowie wieńca, o wielkich bardzo pięknych koronach z długiemi odnogami, dochodzącemi do 30 cm, o pięknem ubarwieniu i białych końcach. Długość rogu prawego 116 cm, lewego 114 cm, obwód róż 25 cm i 25 cm, rozpiętość 80 cm, w najcieńszem miejscu róg prawy i lewy po 17 cm. Waga wieńca 10,20 kg.

2. Kapitalny 18-tak, strzelony przez p. Adama Morawskiego z Warszawy. Liczba odnóg prawego rogu 8, lewego 9. Długość prawego rogu 99 cm, lewego 101 cm. Obwód róż 29 cm i 29 cm. Rozpiętość 66 cm. Najcieńsze miejsca rogów 15 i 14 cm. Waga 8,20 kg.

3. Kapitalny 16-tak, strzelony przez naszego gościa. — Liczba odnóg prawego rogu 8, lewego 7. Długość prawego 110, lewego 111 cm. obwód róż po 24 cm, rozpiętość 86 cm. Obwód w najcieńszych miejscach 14 i 15 cm. Waga 8 kg.

4. Kapitalny 14-tak, strzelony przez Dra Ludwika Dembińskiego z Katowic. Liczba odnóg rogu prawego 6, lewego 7. Długość 111 i 112 cm. Obwód róż 24,5 i 26 cm, rozpiętość 90 cm. W najcieńszych miejscach 15 i 15,5 cm. Waga 7,50 kg.

5. Prócz tego zdobyty został jeden kapitalny 12-tak i dobrych dalszych czternaście wieńców. Reszta słabe. Stosunek łań do byków jak 2 do 1. Ryczało w każdym rewirze (od I do XI) 20 do 30 jeleni.

Mamy zamiar przeprowadzić w zimie odstrzał 20-tu jałowych łań i conajmniej 30-tu byków, które ze względów hodowlanych muszą być odstrzelone.

W Wełdzirzu:

Ludwik hr. Karolyi 1 kapitalnego 14-aka (waga rogów 9,50 kg 195 punktów Nadlera), 1 wstecznik 12-tak.

Aleksander hr. Karolyi 1 dobrego 14-taka, 1 dobrego 12-taka.

Rudolf hr. Czernin, 1 kapitalnego 14-taka (waga rogów 9,25 kg 189 punktów), 1 dobrego 12-taka.

Dr. Hans bar. Ringhoffer, 1 dobrego 14-taka.

Wilhelm bar. v. Gutmann, 2 dobre 14-taki (175 i 179 punktów).

Hr. Roger v. Seherr-Thoss, 2 dobre 14-taki.

Pułkownik Jur-Gorzechowski, 1 dobrego 12-taka.

Andrzej Ulam, 1 kapitalnego 14-taka o bardzo ładnej koronie, 1 dobrego 12-taka.

Dyrektor Konrad Landsberg, 1 wstecznika 10-taka.

Inni goście, 1 dobrego 14-taka (181 punktów) — 1 dobrego 12-taka.

Ogółem padło 17 jeleni.

Stan ryczących jeleni wynosil w dniu 22 IX b. r. — 215 sztuk. Już 26 sierpnia dało się słyszeć pojedyńcze ryczenie, które w dniu 6 września znacznie się wzmogło, a począwszy od dnia 15 września rykowisko było w pełnym toku.

Z powodu śniegu, który spadł z końcem września, zwierzyna zeszła z gór do niższych warstw.

Podczas rykowiska zauważył nasz personel leśny 20 niedźwiedzi. Dzięki ścisłej i wzmożonej ochronie, nie zanotowano strat spowodowanych przez kłusowników.

Naogół przebieg rykowiska był bardzo ożywiony. — Stosunek byków do łań w naszych lasach jest 1:3½.

Na skutek naszego podania do Województwa w Stanisławowie, w sprawie odstrzału łań, Urząd Wojewódzki pismem z dnia 28 września 1936 r. Nr. RL. 22/24, zezwolił nam na selekcyjny odstrzał 50 łań.

W Skolem:

Tegoroczne rykowisko rozpoczęło się 5 września i osiągnęło punkt kulminacyjny w dniu 26 września liczbą 366 ryczących jeleni. Stosunek jeleni do łań wynosił 1:6.

Ogółem padło 24 byków, w tej liczbie 5 — 16-taków, 5 — 14-taków, 7 — 12-taków, 5 — dziesiątaków i 2 — 8-maki.

Na wyróżnienie zasługują 14-aki pp. Dra Tadeusza Górskiego i Bar. Dr. Michała Moysy.

Co się tyczy odstrzału selekcyjnego, zauważamy, że na podstawie zezwolenia Urzędu Wojewódzkiego przeprowadzony zostanie w dobrach skolskich do 15 stycznia 1937, odstrzał selekcyjny 50 jeleni, 200 łań i łanek, oraz 80 cieląt.

W powiecie leskim:

Podaję rezultaty z rykowiska tegorocznego z powiatu leskiego z rewirów, z których doszła mnie wiadomość.

Lasy dóbr Leskich, 10-taka;
Lasy dóbr Kalnica, 14-taka, 10-taka;
Lasy dóbr Wetlina, 14-taka, 12-taka, 10-taka;
Lasy dóbr Jabłonki, 10-taka;
Lasy dóbr Berehy, 10-taka.

A. hr. Krasicki

W dobrach Nawojowa — Rytro Adama hr. Stadnickiego: hr. Waldstein kapitalnego 22-aka.

ANTONI PISULIŃSKI

Krokodyl afrykański

(Ciąg dalszy)

Przed kilkudziesięciu laty była Szira*) wprost idealną ostoją tych jaszczurów. Płynąc przeważnie przez okolice bezludne lub bardzo słabo zaludnione, o brzegach moczarowatych, zarośniętych roślinnością wodną, zatem trudno dostępnych — była też mało odwiedzana przez ludność tubylczą, która tej drogi wodnej raczej unikała. Nikt ich tam nie niepokoił, nikt na ich życie nie nastawał. Mając pożywienia w bród, mogły wieść życie spokojne i beztroskie, i urastać do tych rozmiarów, jakie może już dzisiaj są rzadkością.

To też te ilości krokodylów, jakie mi się wówczas zdarzało spotykać na tej rzecze — wprawiały mię nieraz w zdumienie, jakkolwiek podróżując przez szereg lat w tej części kraju przeważnie drogami wodnemi, do widoku krokodyla, jako pospolitego mieszkańca wód tamtejszych — już przywykłem. A mówię tu o krokodylach, widzianych na lądzie, zatem o sztukach wyrośniętych, czasem i bardzo starych, z pośród których ten i ów dorastał do 5 a może nawet więcej metrów długości.

Wobec tego ta reszta, którą kryły wody Sziry, przedewszystkiem młodsza generacja — musiała chyba iść co do liczby w tysiące tysięcy.

I jakże było trudno pojąć, by przy tej ilości tak żarłocznych drapieżców — mogły istnieć jeszcze jakie ryby w tej rzece? Jak mogły tam obok nich żyć inne stworzenia wodne? Nie powinny były zniknąć bez śladu, albo wynieść się do macierzystej Zambezy, na szersze obszary, na jaśniejsze wody, a przytem nie w tym stopniu opanowane przez krokodyle?

Przecież było inaczej, a ryb w Szirze było zatrzęsienie. Gromadziło się też tam rozmaite ptactwo, żywiące się wyłącznie rybami i to w ilości, jakiej gdzieindziej się nie spotykało. Dość wymienić te, co najbardziej rzucały się w oczy — jak rybitwy, zimorodki, czaple, kormorany i wężogłowy, oraz — Bóg wie — jakie jeszcze inne. — A przedewszystkiem wydry, te największe niszczyciele rybostanów; te były tu dobrze zadomowione.

Wszystko to stwierdzało najdobitniej, że śpiżarnia ryb na tej rzece była obficie zaopatrzona.

A może także te miljonowe rzesze gęsi, kaczek, ibisów i bocianów były tym wabikiem, który sprowadzał taką moc krokodylów? Zwlaszcza tłuste gęsi i kaczki? Bo — że i one wobec takiego ich mnóstwa musiały od czasu do czasu urozmaicać menu tych jaszczurów — nie ulegało kwestji. Obawiały się one krokodylów — a to już świadczyło, że jaszczury polują na nie. Dowodem tego był ten szczegół wymowny — ich zachowanie się w tych rewirach, bowiem nigdy nie zapadały na otwarte wody, a żerowały tylko po błotnistych brzegach, na płyciznach lub zarośniętych trawami zalewach, dokąd nie łatwo było podkraść się krokodylowi — bez zwrócenia na siebie uwagi tych czujnych ptaków.

Co bardziej jeszcze zastanawiało, że omijały nawet te

*) jedna z głównych dopływów Zambezy, bardzo rybna.

miejsca na rzece, gdzie pływały swobodnie pelikany, kormorany i wężogłowy w poszukiwaniu za rybami. Czyżby zdawały sobie z tego sprawę, że to jakiś inny — jakkolwiek im pokrewny — świat ptasi — i że tym ostatnim przysługują inne prawa na głębinach, jakaś „immunitas“ ze strony krokodylów, której są one pozbawione?... A przecież wedle naszej ludzkiej logiki — właśnie to rybożerne ptactwo powinny szczególnie prześladować te jaszczury, jako swoich niepożądanych konkurentów.

Bo że czapel i pliszek oszczędzają krokodyle, to nic dziwnego. Przecież oczyszczają ich skórę z pasożytów a przedewszystkiem pełnią przy nich czujną straż podczas drzemki na lądzie — oddają tym płazom nieocenione usługi, za co widocznie i krokodyl potrafi być wdzięczny.

Usługa za usługę. Symbioza, jakich wiele w świecie zwierzęcym.

Coby jednak chroniło pelikany, kormorany i resztę rybożernych stworzeń przed oczywistem niebezpieczeństwem ze strony krokodylów — to zagadka trudniejsza do rozwiązania. Wszak polują w ich domenach — na tych właśnie głębinach, gdzie największe jaszczury najchętniej przebywają. A krokodyle nie są wcale wybredne na punkcie pożywienia, nie gardząc nawet najwstrętniejszą padliną.

Przypuszczać w każdym razie można, że pewne uzdolnienie fizyczne tych rybożernych stworzeń — ich sprawność poruszania się na wodzie i pod wodą, nie są gorsze od krokodylich, skutkiem czego niebezpieczeństwo sąsiedztwa z temi płazami — redukuje się do minimum. Stąd też może płynie ta śmiałość, z jaką rzucają się w nurty rzeki — pływając i nurkując wytrwale — jakby obecność krokodylów w wodzie była im obojętną.

— — — — — — — — — — — — — —

Jeśli na Szirze spokoju krokodylom nikt z tubylców nie zakłócał, co więcej — nawet tu i tam je szanowano, jakoże uprzątały wrzucane do rzeki zwłoki zmarłych — to i tak ostrożność tych jaszczurów na lądzie była zastanawiająca.

Podjazd łodzią — pod prąd — był prawie zawsze bezskuteczny. Mimo zachowania wszelkiej ostrożności ze strony wioślarza lub wioślarzy — dotarcie do śpiących krokodylów — nawet gdy przy nich nie czuwały czaple lub pliszki — było bardzo trudne. Oczywiście dotarciu na bliższą odległość. Najlżejsze pluśnięcie wiosłem — budziło to bractwo ze snu, jakkolwiek zobaczyć nas jeszcze nie mogły. — Słuch zatem, musiały mieć doskonały.

Pierwsze zaniepokojenie wśród tych płazów objawiało się tem, że osobniki, które dotychczas spały z otwartemi paszczami — a ma to wyrażać sen głęboki — paszcze pozamykały.

W miarę naszego zbliżania się — a byliśmy jeszcze o jakich dwieście kroków od nich oddaleni — ruszyła się ta, lub inna głowa, ten i tamten ogon się wyprostował. Potem nieznaczne ruchy odnóży i powoli — jedno cielsko za drugiem zsuwało się do wody.

Odbywało się to tak leniwie — że miało się wrażenie, jakoby krokodyle nie wiedziały jeszcze, z kim mają do czynienia.

Dopiero na odległość stu, może osiemdziesięciu kroków a więc w obrębie ich pola widzenia, chowały się i te nieliczne głowy, które jakby dla obserwacji wychylone były pod brzegiem lub widniały na powierzchni wody.

Za zbliżeniem się do plaży, gdzie przed chwilą kilkadziesiąt ogromnych jaszczurów się wygrzewało — już nawet zmarszczka na wodzie nie zdradziła bytności tylu uciekinierów pod jej zwierciadłem.

W pierwszych początkach mej afrykańskiej karjery myśliwskiej, kiedy jeszcze nie miałem pojęcia, jak wygląda prawdziwa dżungla, step lub sawanna, a jeszcze mniej jak wygląda zwierzyna, na którą miałem polować — już zapoznałem się w drodze z hipopotamem i krokodylem. — Była to konsekwencja ówczesnego sposobu podróżowania, bo jedynym możliwie bezpiecznym gościńcem, prowadzącym w głąb kraju — były większe rzeki i ich dopływy.

Hipopotam i krokodyl!...

Takie dwa arcyegzotyczne stworzenia musiały zrobić potężne wrażenie na nowicjuszu. Nic dziwnego, że opanowała mię prawdziwa gorączka, aby na nie zapolować.

Rozczarowanie jednak przyszło dość rychło. Zwłaszcza na punkcie krokodyla.

Ponieważ wyobrażałem sobie, że krokodyl, jako drapieżca wodny, wart tyle samo co drapieżca na lądzie, a fakt ubicia tego bandyty winien być uważany za czyn tej samej doniosłości, co ubicie lwa lub lamparta — zacząłem z wielkim zapałem za niemi poszukiwać.

Moi czarni wioślarze — mając obiecaną nagrodę za wskazanie mi tego płaza i podwiezienie łódką na strzał — dokładali starań, aby mię zadowolić. Obwozili mnie po Zambezie godzinami — dokoła samotnych wysepek, pomiędzy mielizny i piaszczyste ławice, gdzie pojedyńczo lub w grupach — spore krokodyle się wygrzewały; niestety nigdy nie zdołaliśmy podjechać tak blisko, aby można było dobrze strzelić, tem bardziej, że chwiejba łódki uniemożliwiała strzelanie z oparcia.

To też, strzelając przeważnie z większej odległości — robiłem cudowne pudła.

Nawet w pomyślniejszych okolicznościach — kiedy udało mi się na ląd wysiąść i strzelać z pozycji siedzącej, nie wiele wskórałem. Krokodyle trafione, czy nie (nie dało się najczęściej sprawdzić) uciekały do wody.

C. d. n.



A. GROETSCHEL

Opowieść o borsuku, który umknął z szelkami porucznika

Porucznik Wedam, przydzielony do pułku austrjackiej piechoty, stacjonowanej w Mostach Wielkich, zapragnął zapolować na borsuki.

Uzyskawszy tedy odnośne zezwolenie, wybrał się w ostatnich dniach maja 1905 roku do lasu majątku Mosty Wielkie — należącego podówczas do PP. Udryckich.

Do wyprawy tej dołączyli się PP. Stelmach, dzierżawca Stanisławówki — St. Cisło, słuchacz praw, wreszcie ja. My dwaj ostatni byliśmy bez strzelb — zatem jako widzowie.

De facto nie byłem zwolennikiem tego rodzaju łowów — a zwłaszcza o tej porze, kiedy młode borsuki, zbyt jeszcze były małe, by na nie polować.

Do jam prowadził leśny Żenecki. Puszczono psy, a te po krótkiem naszczekiwaniu, osadziły borsuki w ściśle określonem miejscu. — Kopanie jamy w piasku nie przedstawiało zbytnich trudności, to też niebawem otwarto w ziemi skrzynię — na dnie której ukazał się siwy grzbiet borsuczy, zasypany częściowo piaskiem.

Grabowe widełki unieruchomiły biedaka w jego własnej siedzibie. Po krótkiej, a nierównej walce silny stary borsuk uległ przemocy i niebawem wydobyto go z dołu z rozpłataną głową.

W ostatnim zakątku jamy psy zaatakowały niebawem drugiego, lecz już znacznie mniejszego borsuka. Porucznik Wedam łaskawie darował mu życie za cenę dozgonnej niewoli. Przeznaczył go bowiem, jako ozdobę koszar — gdzie w niedużej klatce na obszernym dziedzińcu miał przebywać do końca swego życia.

Zatem padł rozkaz: „tego brać żywcem". Ale rzecz nie tak była łatwa. — Brak odpowiednich sznurów i klatki utrudniał pochwycenie i przewiezienie borsuka.

Zwierz leśny nie łatwo daje się pozbawić wolności — zwykle walczy do ostatka — dokąd starczą siły — a ulega tylko stanowczej przemocy. Znowu grabowe widełki unieruchomiły skazańca — a brak odpowiednich sznurów zastąpiły nowe szelki porucznika.

Leśni wiążą niemi obie tylne nogi borsuka, nadto z wózka przynoszą koc, rozścielając go szeroko. — Przy pomocy grabowych widełek i szelek porucznika Wedama, wydobywają leśni borsuka z jamy i naprowadzają go ostrożnie na środek rozciągniętego koca. — Po wielu trudach i mozolnem szamotaniu się przy pomocy kilku ludzi, borsuk znalazł się wkońcu zawinięty w koc.

Związane końce koca leśny ujmuje w silne dłonie i zarzuca borsuka na plecy, niosąc triumfalnie do fury.

Widząc, że tragedja skończona odszedłem kilkanaście kroków w głąb lasu. Tymczasem borsuk ochłonąwszy nieco ze zmęczenia i przerażenia, począł gwałtownie rzucać się i szamotać na plecach leśnego, to spowodowało, że jeden koniec koca wysunął się z rąk tegoż. Leśny nie zauważywszy, co się z tyłu dzieje, a czując, że koc się rozluźnia i ciężar nieco opada — trzy końce koca zatrzymuje w jednej ręce — drugą zaś stara się podnieść borsuka w górę. Lecz czyni to po omacku i natrafia ręką na pysk jaźwca.

Borsuk poczuwszy dłoń leśnego, ciął go — choć przez koc, jednak dotkliwie. Leśny krzyknął i puścił zupełnie koc na ziemię wraz z dźwiganym borsukiem.

Ten zwaliwszy się bezwładnie na ziemię, ocknął się natychmiast — i pomknął co sił ku najbliższym gąszczom, nie dbając o to, że szelki porucznika Wedama utrudniały mu bieg.

Był zamiar nie puścić zbiega i dwie flinty złożyły się do strzału — lecz, że borsuk pędził wprost na mnie i przemknął koło mnie na kilka kroków — więc salwując me życie — musiano poniechać borsuka.

Długie poszukiwania po wszystkich znanych jamach borsuczych dały w końcu ten rezultat, że pod wieczór ustalono gdzie ukrył się zbieg z szelkami porucznika Wedama. Z powodu późnej godziny wieczornej, bardzo rozległych i głębokich jam i znacznej odległości danej partji lasu od domu — zaniechano dalszego prześladowania zbiega.

Borsuk tedy uszedł cało — z czego, choć nie jawnie, ale szczerze się cieszyłem — a nowe szelki porucznika Wedama, przepadły na zawsze w podziemiach lasów mosteńskich.



JAROSŁAW HUBALEK

Cygan „Mykita"

(Ciąg dalszy)

Sprężystym krokiem przesadził szeroką ścieżkę strażnicą, gdy nagle o uszy jego obił się jakiś głos. Stanął, jak wryty, cały zamieniony w słuch, jeno skrzydełka czarnego nosa drgały mu nerwowo. Po chwili uspokoił się. To dziki żerują w dębinie. Wyraźnie słychać basowe chrząkanie lochy i kwik warchlaków, czubiących się o znaleziony kąsek.

Cygan znał dziki i nie bał się ich. Tyle razy spotykał je na swych nocnych wycieczkach, że mógł się im dobrze przyjrzeć. Są to stworzenia ordynarne, niezgrabne i głupie; lubią spokój ale i same nikomu go nie mącą. Na łowiectwie nie znają się zupełnie; hałasu narobią w lesie, jakby to nie zwierzyna szła a koń. Nie boją się nikogo oprócz człowieka, a wiedzą dobrze, że w nocy i on nie straszny.

Jeszcze chwilę orjentował się Cygan, wkońcu, z wrodzonej ciekawości, puścił się w stronę dzików. Prowadziła je silna locha, najmniej pięciolatka, wkoło niej z kwi-

kiem wadziło się o każdą znalezioną żołędź — sześć warchlaków. — Z całym spokojem ryła mocarnym gwizdem bruzdę, co chwila odwalając nową bryłę zmarzłej ziemi, warchlaki zaś skrzętnie wyławiały odkryte w ten sposób żołędzie.

Z półwiatrem podszedł cicho Cygan, usiadł i ciekawie przyglądał się dziczej rodzinie. Zwietrzyla go jednak locha. Podniosła gwizd i fuknęła groźnie, a na to hasło zbiegły się warchlaki, tuląc do matki. Okazało się, że to tylko lis, a więc nic niebezpiecznego; wojowniczy gwizd zaczął pracować dalej i spokój powrócił do dziczej rodziny.

A Cygan siedział i siedział. Nagle strzeliła mu do głowy szalona myśl: a nużby się udało porwać jednego warchlaka! Jaka wspaniała uczta i to nie na jeden dzień. Ale po chwili zastanowienia, uznał to za czyn szalony i ryzykowny; natomiast istniała inna możliwość. Ciężkiemi krokami dzików i ryciem przepłoszone myszy z pewnością będą ratować się ucieczką i tę okoliczność należy wykorzystać! Przybliżył się więc do dzików na odległość średniego strzału śrutowego, usiadł i nastawił uszy. Istotnie — po małej chwili trzymał w mordce pierwszą rudą myszkę. Niebawem nietylko się nasycił, ale i wzbogacił umysł doświadczeniem, że wspólne żerowanie z dzikami jest dla lisa bardzo korzystne.

Przedsiębrał teraz wycieczki w coraz dalsze okolice, wychodząc z założenia, że dobry myśliwy powinien dobrze znać swój rewir. Rewirem zaś dla niego był niemal cały powiat. Apetyt miał stale wyborny, o wiele większy niż możność jego zaspokojenia; minęły te dobre czasy, gdy w lesie było pełno młodzieży różnego rodzaju, którą — za cenę życia — uczyć trzeba było roztropności. Cygan uczył ją gorliwie i honorarjum zbierał obficie. Dziś młodzież dorosła i niestety zmądrzała.

Fortuna kołem się toczy. Zmieniają się koleje losu i pyszałków-lisów, mających się za wcielenie chytrości.

Pewnego dnia zabłądził Cygan w nieprzebyte gąszcze doliny Syrowego potoku, kryjące istny labirynt ścieżek wszelakiego zwierza, sta strumyków, tysiące skal i urwisk, a nadewszystko nieskończoną możliwość przygód. Mieszkają tu w wielkich gromadach dziki, rzadko kiedy płacąc człowiekowi daninę ze swego życia. Na gęsto rozsianych łączkach, powstałych przeważnie po leśnych wypaleniskach, obfitą paszę znajdują liczne sarny. Mnóstwo jarząbków ożywia tę głuszę leśną, a w skalnych oberwiskach bezpiecznie gnieździ się sam król nocy — puhacz. Nad wierzchołkami skał krąży sokół wędrowny, a nad nim, wysoko, majestatyczne kręgi zatacza krzykliwy orzeł. W chłodne, ciche noce październikowe słychać tu basowy ryk, otoczonego wieńcem łań, króla lasów. Gęstwina ta, to istny raj dla kuny. Pełno tu starych, pustych wewnątrz pni z całą masą zacisznych dziupli, gdzie i gniazdo bezpieczne i przygodny odpoczynek miły. Na wysokim świerku pokrzykuje radośnie orzechówka i ze wszystkich stron nadstawia słońcu nakrapianą sukienkę. Jedyna leśna droga zarosła bujną trawą. Nikt nią nie chodzi, nikt nie jeździ. Bo i jak? Zaczyna się rozwalonym mostem na jednym potoku, a kończy zniesionym przez wodę na drugim. Tu zrana wygrzewa na słonku jarząbka swe rozkoszne młode pisklęta, lub wspaniały rogacz delektuje się bujną trawą i bożem słońcem po leśnych mrokach.

W zimie inaczej. Śnieg leży tak wysoko, że człowiek chyba na nartach się tu dostanie, a zwierzyna przebrnąć go nie może. Leży go tu czasem na dwa metry grubo; nic dziwnego — prawie tysiąc metrów wysokości... Trzeba czekać, póki dziki, jak parowym pługiem, nie przeorzą zasp, lub gajowy nartami nie narobi wąskich, jako tako ubitych ścieżek. Inaczej rozpacz. Głód, nędza, choroby, do krwi okaleczałe badyle...

W tej chwili nie jest jeszcze źle. Śnieg wprawdzie już leży, ale niewielki, kłusować można bez wysiłku. Cygan sznurował właśnie wzdłuż potoku. Znalazł kilka raków, niedojedzonych przez wydrę; dobre to na zaostrzenie, ale nie na zaspokojenie apetytu.

W dalszej drodze napotkał stary tor kolejowy. Wyskoczył na nasyp dla łatwiejszego zorjentowania się w okolicy. Cisza głęboka panowała wszędzie, za górami przygasała krwawa łuna zachodzącego słońca, a na białym śniegu kładły się długie cienie leśnych olbrzymów. Jeden z nich, znacznie ciemniejszy i wyrazistszy, dziwnie przypomina kształt ludzki. A jednak lis się go nie boi; nieomylny nos nie czuje tu nic podejrzanego. Z drugiej strony leży ciemna korona złamanego świerku. Z wierzchu przysypana śniegiem, czerni się niesamowicie w wieczornym półmroku, — rzekłbyś — olbrzymie cielsko śpiącego niedźwiedzia. Ale i to nic strasznego. Daleko więcej zaciekawia Cygana ta mniejsza, ciemna plama obok korony; to jest naprawdę coś, godnego uwagi. Wprawdzie słuch nic mu nie mówi, oko nic nie wie pewnego, nos milczy. A jednak..., hop! w tył — w gąszcz! Odwrót? Ucieczka? O! nie. Obejść tylko trzeba to miejsce dokoła, z drugiej strony i dostać się pod wiatr. A potem zobaczymy!

I kocim krokiem skrada się Cygan gąszczem, a kita zaciera starannie własny trop. Co chwila staje i wietrzy. — Wreszcie zaleciał go słabiutki wietrzyk, a z nim luby zapach sarniej farby. Jeszcze chwilę czekał; zbyt łatwem mu się zdawało to szczęśliwe znalezienie wieczerzy. Coś tu jest nie w porządku — pieczone gołąbki nie wpadają i lisowi same do gąbki...

Ostrożnie, krok za krokiem, zbliża się do sarny, rozdartej przez rysia. Czuje nawet jego woń. Nie zna go, nie spotkał się z nim jeszcze nigdy, ale przeczucie mu mówi, że to niebezpieczna sztuka. A nuż tu gdzie jest niedaleko i skoczy nagle? Chociaż nie! — wiatr bardzo słaby, trop stary, z pewnością z zeszłej nocy.

Z przyzwyczajenia obszedł dużym kręgiem szczątki sarny dokoła — nigdzie nic podejrzanego. Zbadał trop i przekonał się, że ryś, widocznie nasycony, odszedł od ofiary w jakieś bezpieczne ukrycie.

(Ciąg dalszy nast.)



WITOŁD ZIEMBICKI

Z ocalonej spuścizny

(Ciąg dalszy)

Wyrażenia nowe wpisywane są na czystych kartkach w porządku alfabetycznym, o ile możności równolegle ze zbliżonemi wyrażeniami drukowanemi w pierwszym wydaniu. Z porównania tekstu drukowanego i rękopiśmiennego wynika, że zasób słów i wyrażeń został nowemi uzupełnieniami znakomicie wzbogacony. Niektóre z kartek wstawionych są w całości zapisane uzupełnieniami. Kozłowski zdawał sobie doskonale sprawę z tego jak niezupełnym był jego słownik w pierwszem wydaniu. Stąd też i tytuł jego: „Pierwsze początki terminologji łowieckiej“. Nieustawał więc w zbieraniu.

Inwentarz Kozłowskiego, tak drukowany, jak rękopiśmienny, opracowany jest popularnie, nie zaś filologicznie. Wynikało to, rzecz jasna, z przeznaczenia słownika, pisanego przedewszystkiem dla celów praktycznych. Temu jednemu przecież wymaganiu metodyki naukowej uczynił zadość, że każde, podane w swym słowniku wyrażenie, opatrzył znakiem, wskazującym pochodzenie tego wyrażenia. W ten sposób powstały w jego słowniku dwie grupy wyrażeń: jedna, składająca się z wyrażeń, pochodzących z literackich źródeł drukowanych i druga, składająca się z wyrażeń zasłyszanych. Znakiem, świadczącym o pochodzeniu wyrazu, była litera, odpowiadająca źródłu. I tak litera **B** oznaczała poemat Morsztyna *„Historje ucieszne o królewnie Banialuce“*; litera **G**: *„Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwcze“*; litera **J**: Zoologję Jundziłła; litera **K**: dzieła Kluka; litera **L**: Słownik Lindego; litera **M**: poemat Bielawskiego *„Myśliwiec“*; litera **O**: Ostroroga *„Myślistwo z ogary“*. Słowa drugiej grupy opatrzone były literą **U**, to znaczy, że pochodziły z używania, czyli z tradycji. Wyrażenia, z których składa się rękopis, nie posiadają żadnego znaku, co dowodzi, że nie pochodzą ze źródeł drukowanych, ale rejestrowane były w miarę, jak się Kozłowski z niemi pośrednio lub bezpośrednio zetknął w praktyce.

Ważności zbioru Kozłowskiego nie potrzeba wykazywać. Wystąpi ona zresztą w całej pełni dopiero w razie jego opublikowania. Znaczenie całości jest pierwszorzędne nie tylko dla myśliwego i miłośnika myśliwskiej gwary, ale także dla przyrodnika, dla etnologa, dla historyka kultury, filologa i historyka języka polskiego. Sto lat oddalenia może je jeszcze zwiększyło. Bo wielką część zbioru stanowią słowa, wówczas żywe, a dziś, pod wpływem zmienionych warunków łowieckich, zupełnie zapomniane. To część zabytkowa zbioru, przez zapobiegliwego pracownika uratowane od zagłady.

Kozłowski nie dawał wskazówek co do prowenjencji regjonalnej rejestrowanych wyrazów. Sprawa ta przekraczała możność i zadanie jego jako zbieracza a nie badacza językowego. Większość słów była niewątpliwie uniwersalną dla całego kraju. Skąd zaś głównie pochodziły inne, możemy się domyśleć, znając okolice, skąd Kozłowski pochodził i gdzie głównie działał. Były to okolice Polski środkowej. (dok. nast.).

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie delegatów M. T. Ł. z powiatu złoczowskiego za sezon 1935/36.

Złoczów, 16 czerwca 1936.

Przedewszystkiem należy z uznaniem stwierdzić w świecie myśliwskim naszego powiatu pewną **poprawę obyczajów**, przejawiającą się w tem, że właściciele i dzierżawcy łowisk na apel delegatów nadesłali sprawozdania z odbytych polowań, ubitej zwierzyny, unieszkodliwienia szkodników itd., co pozwala na wgląd i objektywną ocenę stosunków łowieckich. Wskazuje to niewątpliwie na pogłębienie zrozumienia dla racjonalnej gospodarki łowieckiej — i to należy z uznaniem powitać.

Przechodzimy do właściwego sprawozdania.

Naogół stosunki łowieckie w powiecie złoczowskim poprawiają się wolno a ciągle; wskazuje na to z roku na rok wzrastający stan zwierzyny, choć warunki klimatyczne są bardzo ciężkie — szczególnie w południowo-wschodniej części powiatu — t. zw. „zimne Podole“, na którem na całych kilometrach kwadratowych brak krzaczka, a w zimie głębokie śniegi uniemożliwiają drobnej zwierzynie egzystencję.

Drugim powodem tej powolnej poprawy jest ta okoliczność, że niektóre wspólne obwody znajdują się w niewłaściwych rękach, a w niektórych własnych obwodach panuje jeszcze ciągle zupełny brak zrozumienia a także zamiłowania do łowiectwa. Kwitnie więc dawna gospodarka dostarczania **„zwierzyny na stół“** — czyli system wybijania sarn, zajęcy i kuropatw przez różnych zawodowych kłusowników, fagasów dworskich, kuchcików itp., przy równoczesnem najzupełniejszem nietroszczeniu się o jej warunki bytu.

Pewna ilość wspólnych obwodów łowieckich, wynajętych przez ludzi nie mających środków do prowadzenia racjonalnej gospodarki łowieckiej — nie ma np. zupełnie straży łowieckiej! Obecne ustawy nasze nie pozwalają niestety na jakąś ingerencję w tym kierunku ze strony delegatów M. T. Ł. — Oby tyle razy już zapowiadana nowela do Prawa łowieckiego wyszła i dała nam możność prawną i podstawę do owocnej pracy także w tym kierunku!

Dodatni kierunek rozwoju łowiectwa można także stwierdzić pod względem **tępienia szkodników**; gdy jeszcze do niedawna żałowano naboju, by unieszkodliwić psa-włóczęgę, kota, srokę, wronę lub jastrzębia — to dziś już sprawa wygląda inaczej. Faktem jest bowiem, że np. liczba ubitych skrzydlatych drapieżników w ubiegłym sezonie przewyższa trzykrotnie liczbę w sezonie 1934/35. (443—145).

Dalszym objawem rozwoju prawidłowego łowiectwa jest rozwijający się **chów bażantów**. Gdy jeszcze przed dwoma laty były obwody łowieckie Kutkorz, Stronibaby i Pietrycze jedynemi ostojami tego pięknego ptaka, to obecnie w obwodzie łowieckim Poczapy, dzierżawionym przez P. T. Ł. w Złoczowie, zaprowadzona w r. 1935 sztuczna hodowla dała już około 300 sztuk, częściowo już wypuszczonych w rewir. Przykład ten — chociaż to rzecz kosztowna — zachęcił innych członków P. T. Ł. do zaprowadzenia w swoich rewirach również chowu bażantów: wysiłki te ukoronowały piękne rezultaty.

Rezultataty polowań w powiecie złoczowskim w r. 1935/36, a dla porównania także w roku 1934/35 (cyfry podane w klamrach), podaję poniżej:

Zwierzyna pożyteczna: dziki 8 (7), rogacze 80 (42), zające 1988 (2555), bażanty 116 (179), kuropatwy 325 (138), przepiórki 88 (60), chruściele 16 (11), kaczki 266 (131), bekasy 20 (27), słonki 123 (27), cietrzewie 3 (6), dzikie gołębie 12 (10), kulony 7 (—).

Zwierzyna drapieżna i szkodniki: lisy 139 (87), borsuki 4 (1), wydry — (1), łasice 22 (22), tchórze 3 (3), orły 2 (3), czaple 3 (1), jastrzębie 133 (68), kruki 5 (3), wrony 183 (31), sroki 127 46), psy 50 (49), koty 66 (65), norki 1 (—).

Jeśli te rezultaty porównamy z sezonem 1934/35, to są one w rubryce zające, prawie o 600 sztuk mniejsze, ale nie jest to jeszcze dowodem absolutnym zmniejszania się ich stanu. Prawdziwa przyczyna mniejszego pokotu leży raczej w bezśnieżnej, bardzo łagodnej zimie, podczas której prawie wszystkie polowania zawiodły, bo zające były w polu. Wobec tego, że ani nie stwierdziliśmy

żadnych chorób, ani nikt żadnych nie zgłaszał — przypuszczać należy, że stan zajęcy się nie zmniejszył — a tylko ich mniej padło.

Dziki utrzymują się na dotychczasowym poziomie.

Stan **sarn** poprawia się ciągle — a ilość ubitych rogaczy przekracza dwukrotnie rezultaty z r. 1934/35. Dużą przeszkodę dla dalszego rozwoju sarn, stanowi nieprzychylny nastrój referenta wojewódzkiego ochrony lasów w Tarnopolu, który jako zamiłowany leśnik, jest z natury rzeczy zdeklarowanym ich wrogiem i udziela na każdą prośbę pozwolenia na odstrzał kóz. Czy nie byłoby wskazane, by każde podanie o odstrzał siut było przed rozstrzygnięciem opinjowane przez delegatów M. T. Ł.?

Kuropatwy rozmnażają się, ale głównie w połudn.-zach. części powiatu, dając mniej więcej 3-krotny rozkład w porównaniu z rokiem 1934/35.

Wiosenny ciąg słonek nie dopisał tego roku, trudno to wytłómaczyć. Faktem jest jednak, że okolic naszego powiatu, odznaczających się zawsze pięknemi ciągami — unikały tej wiosny te miłe długodzióby. Wprawdzie wynik sezonu wynosił 123 sztuki, ale jest to rezultatem głównie jesiennych polowań.

Co się tyczy ptactwa wodnego i błotnego, to sezon 1935/36 przyniósł na rozkładzie ogółem 266 kaczek, t. j. 2 razy tyle co sezon 1934/35, ale ogólnie panuje przekonanie, że stan kaczek zmniejsza się, głównie dlatego, że pastuchy wybierają jaja. I tu trzebaby bardziej drakońskie kary stosować niż dotąd — i to na rodziców, by poprawę obyczajów osiągnąć.

Smutny fakt zaniku **kszyków** (o dubeltach nie wspominamy, bo te zaczynają należeć do rzadkości) nie da się niestety zaprzeczyć. Również chruściele jawią się u nas w coraz to mniejszej liczbie. Powód nieznany! Zato stan **przepiórek** poprawia się od 3 lat stale i wybitnie.

Przechodzimy do **drapieżników. Mam tu na myśli głównie lisy.** Pod tym względem można nasz powiat do wcale dobrych zaliczyć, bo padło w nim mimo prawie bezśnieżnej zimy, tylko wedle meldunków, jakie nas doszły 139 sztuk — wśród nich żaden parszywy. Piękny rozkład lisi, godny wzmianki, miały łowiska Biały Kamień (27) i Kutkorz (24). Mimo tak dużego odstrzału nie odnosi się wrażenia, jakoby ilość lisów poważnie zmalała, a także z drugiej strony nie obserwuje się jakichś poważniejszych ubytków w zwierzynie pożytecznej — widocznie więc duży stan lisów harmonizuje z powiększającym się stanem zwierzyny pożytecznej — co zresztą nikogo nie dziwi, bo im więcej zwierzyny pożytecznej, tem więcej drapieżników.

Świat myśliwski powiatu złoczowskiego reprezentuje przedewszystkiem poważne i karne zrzeszenie: Polskie Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie i wykazuje jako takie dużą aktywność, zagarniając pod swoje opiekuńcze skrzydła wszystkie rewiry bezdomne. Obecnie dzierżawi to towarzystwo już około 35.000 ha i pod tym względem będzie jednem z największych w całej Małopolsce (mówiąc oczywiście o terenach nizinnych). Naturalnie nie ma mowy o przepolowaniu w ciągu sezonu całego obszaru. Niektóre obwody łowieckie, wyniszczone rabunkową gospodarką poprzedników są zamknięte, w innych poluje się bardzo oględnie, a wiele obwodów dzierżawi się tylko dlatego, aby zapobiec przejściu ich w niepowołane ręce, lub stanowią one tereny ochronne dla większych kompleksów lasów, dzierżawionych przez P. T. Ł. Jest to duża ofiara ze strony P. T. Ł., liczącego 32 członków.

Dwa inne zrzeszenia na terenie powiatu złoczowskiego t. j. Kółko Myśliwskie w Olesku i Jagdverein Bronisławówka nie wykazują zmian. Kółko Myśliwskie w Olesku, pracując wzorowo na swojem małem terytorjum, zgłasza dobry stan zajęcy, ale donosi, że kłusownicy tamtejsi rozpoczęli nowy sposób łapania zajęcy — pędząc je w sieci. Dotąd nie używano u nas tego zabiegu.

Z pomiędzy własnych obwodów łowieckich wysuwa się na czoło knieja Kutkorz, Dra Jerzego hr. Wodzickiego, którą charakteryzuje wogóle pod każdym względem wzorowa gospodarka łowiecka a przedewszystkiem ogromna opieka nad zwierzyną pożyteczną, a z drugiej strony, wprost rekordowe rezultaty w kierunku tępienia drapieżników (np. 69 jastrzębi i 22 łasice). Stojąc od szeregu lat pod tym względem na czołowem miejscu. Bardzo piękne rezultaty, wykazują również łowiska Biały Kamień, Firlejówka, Sewerynówka, Pietrycze, Strutyn, Nowosiółki i Zalesie.

Kłusownictwo kwitnie w naszym powiecie tylko tam, gdzie niema straży łowieckiej, np. Trościaniec Mały (istna pepiniera raubszyców, gdzie 4500 morgów, dzierżawi nauczyciel szkoły), Zarwanica, Płuhów i inne, w niewłaściwych rękach się znajdujące. Tam zaś, gdzie straż łowiecka istnieje i swe obowiązki spełnia, należą wypadki kłusownictwa do rzadkości; do starć orężnych nie przychodziło.

Za to wnykarstwo kwitnie wszędzie, t. zn. w ciągu zimy zdejmuje się w rewirach po kilkadziesiąt wnyków. Jednak dotąd udało się tylko jednego wnykarza in flagranti złapać (3 miesiące bez zawieszenia).

Psy samopas włóczące się należą raczej do wyjątków, bo nakaz starostwa trzymania chłopskich psów na uwięzi, jest dość skrupulatnie przestrzegany.

Dla drobnej zwierzyny są raczej koty, sroki, wrony, jastrzębie i kruki szkodliwe — liczbę skrzydlatych drapieżników ukracamy skutecznie, wybierając jaja. W ostatnich dwu latach liczba kruków (corvus corax) zwiększyła się bardzo — zdaje się zażywają one nieco zadługiego czasu ochrony.

O ile łowiectwo i jego racjonalne zasady dzięki wysiłkom pewnych jednostek, a głównie zrzeszeń, zapuszczają coraz głębsze korzenie — o tyle **strzelectwo myśliwskie** tak śrutem jak i kulami jest pogrążone w głębokim śnie. A przecież w samym Złoczowie, dzięki inicjatywie b. burmistrza Dra Kazimierza Moszyńskiego — istnieje doskonale urządzona strzelnica na placu sportowym, nadająca się do każdego myśliwskiego strzelania — możnaby więc każdej chwili urządzić zawody, jednak do tego mimo uchwał P. T. Ł. w Złoczowie nie podobna od czterech lat naszych myśliwych nakłonić. Czem wytłumaczyć ten brak zamiłowania w tym kierunku? Chyba brakiem zrozumienia dla pożyteczności tego sportu. Bo przecież strzelanie czy to do rzutków, czy do ruchomych tarcz przyczyniłoby się w dużej mierze do trafnego ocenienia tak własnej sprawności strzelca, jak i do gruntownego zapoznania się ze swą bronią. Ustałyby może owe wstrętne strzelania śrutem na 100 kroków do zwierzyny i kaleczenie jej — co się jeszcze szczególnie na polowaniach polnych obserwuje.

Miejmy nadzieję, że i na tem polu doczekamy się poprawy.

Cześć św. Hubertowi!

Kazimierz Leszczycki, prof. gimn.
Walery Maryański gen. W. P. w st. sp.
delegaci powiatowi M. T. Ł.



Preparowanie czaszek

W odpowiedzi na zapytanie w sprawie preparowania czaszek podajemy następujący przepis:

Czaszki świeżej, t. j. po ubiciu, nie należy nigdy zaraz gotować, gdyż tłuszcz wsiąknie wtedy w kość i czaszka nigdy już białą nie będzie. Należy natomiast przeprowadzić tak zwane **macerowanie,** polegające na zdarciu z czaszki skóry i ile się da mięsa, włożenie jej do zimnej wody, jeżeli możliwe, bieżącej, jeżeli nie, to trzeba wodę zmieniać co drugi dzień. W kilka dni dopiero podczas macerowania można czaszkę lekko podgotować, aby łatwiej dała się zedrzeć reszta mięsa. Czaszkę należy trzymać zanużoną w wodzie tak długo, aż woda będzie już czystą, bez tłuszczu pływającego na wierzchu. Okres macerowania trwa do 3 tygodni. A. M.

Komunikaty

ODPIS.

MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH
Nr. AP.18/9—7

Współdziałanie władz administracyjnych z organami Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

Do

Wszystkich P. P. Wojewodów, P. Komisarza Rządu na m. stoł. Warszawę i P. P. Starostów.

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, dążąc do skoordynowania pracy ogółu myśliwych w kierunku podniesienia zwierzostanu oraz rozwoju łowiectwa polskiego pod względem gospodarczym, prawnym i etycznym, powołał do życia szereg oddziałów wojewódzkich oraz mianował delegatów powiatowych.

Wobec tego, że opieka nad łowiectwem i nadzór nad przestrzeganiem przepisów rozporządzenia z dnia 3 XII 1927 roku o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934) należy do wojewódzkich i powiatowych władz administracji ogólnej, wskazana jest wzajemna współpraca tych władz z organami Związku. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w porozumieniu z Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych zaleca zatem, aby P. P. Wojewodowie i Starostowie przy wykonywaniu swych obowiązków, wynikających z postanowień prawa łowieckiego, utrzymywali możliwie ścisły kontakt z odnośnymi przedstawicielami Związku, oraz udzielali im poparcia przy wykonywaniu ich statutowych funkcyj.

W szczególności pożądanem jest zasięganie opinji Związku w razie wyłaniających się fachowych wątpliwości przy tworzeniu i znoszeniu obwodów łowieckich, mianowaniu członków sądów rozjemczych itp. Niewątpliwie współdziałanie takie przyczyni się wydatnio do podniesienia stanu łowiectwa polskiego zarówno pod względem gospodarczym jak i organizacyjnym.

Również zechcą P. P. Wojewodowie i Starostowie polecić funkcjonarjuszom P. P. podległych im okręgów, aby w interesie racjonalnej gospodarki łowieckiej i walki z kłusownictwem udzielali w razie potrzeby pomocy delegatom powiatowym Związku, a zwłaszcza, aby przyjmowali dla przeprowadzenia dalszych dochodzeń doniesienia tych delegatów o przekroczeniach przepisów, obowiązujących w dziedzinie łowiectwa.

Celem ułatwienia współpracy władze Związku będą w województwach, pod względem narodowościowym mieszanych, uzgadniali z władzami administracji ogólnej kandydatury na delegatów powiatowych oraz będą nadsyłały P. P. Wojewodom wyrazy mianowanych delegatów, uprawnionych do działalności z ramienia Związku.

Oddziałami wojewódzkimi Polsk. Zw. Stow. Łow. w chwili obecnej są:

w woj. białostockiem — Wojew. Rada Łowiecka w Białymstoku,
w woj. kieleckiem, lubelskiem, łódzkiem, poleskiem i warszawskiem z m. Warszawą — Polskie Tow. Łowieckie w Warszawie,
w woj. krakowskiem, lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem — Małopolskie Tow. Łowieckie we Lwowie,
w woj. nowogródzkiem i wileńskiem — Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich w Wilnie,
w woj. pomorskiem — Pomorskie Tow. Łowieckie w Toruniu,
w woj. poznańskiem — Wielkopolski Związek Myśl. w Poznaniu,
w woj. śląskiem — Śląskie Towarzystwo Łow. w Katowicach,
w woj. wołyńskiem — Wołyńskie Stow. Łowieckie w Łucku.

Równocześnie uchyla się pismo okólne z dnia 23 IV 1927 r. Nr. AP. 2265/27 (str. 757 Zbioru Zarz. M. S. W.)

Michałowski
Dyrektor Departamentu

◆

W piątek dnia 6 b. m. o godz. 20[15] nadana będzie przez Polskie Radjo we Lwowie na wszystkie rozgłośnie 1-aktowa opera Karola Kurpińskiego: „Leśniczy w Puszczy Kozienickiej" w radjofonizacji M. Krzyńskiego.



SPROSTOWANIE

omyłek, zaszłych w Numerze 10-tym „Łowca".

W artykule naczelnym str. 172. w rozdziale zaczynającym się: Prócz tego olbrzyma... zamiast: z jeleniem azjatyckim Mardem, ma być Maralem.

W artykule Klasyfikacja Eksponatów, str. 177 w rozdziale Sarny, srebrny medal jako pierwszy zamiast Nr. 1063, ma być 1163. — Str. 178, pierwszy wiersz, prawa kolumna, zamiast Nr. 176, ma być 473; zamiast Chodorów, ma być Monasterzyska; zamiast Eugenjusz Ks. Lubomirski, ma być Józef hr. Mołodecki. — Str. 182, prawa kolumna medal srebrny, zamiast Sękowski Stefan, ma być Sękowski Aleksander. Medal bronzowy, zamiast Stanek Janek, ma być Stanek Jan.

TREŚĆ NUMERU 11:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 70 zł., 1/4 str. 36 zł., 1/8 str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł. — Drobne ogłoszenia — płatne z góry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie 2 zł. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Zarząd Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego dla wpłat członkowskich: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44. Godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. — Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Administracja: Księgarnia Gubrynowicz i Syn, właść. A. Krawczyński, Lwów, plac Katedralny 9, tel. 228-81. — Oddział w Krakowie, ul. Krowoderska 59/7, P. K. O. 405.265

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50